KASZËBË

ORGAN ZARZĄDU GŁÓWNEGO ZRZESZENIA KASZUBSKIEGO

ROK II Nr 2(9) GDAŃSK 16—31. I. 1958 R. CENA 2 ZŁ

Nasi kandydaci

Aleksander Arendt

Aleksander Arendt jest z zawodu prawnikiem - ekonomistą. Swoją działalność społeczną na Kaszubach rozpoczął w latach trzydziestych w Kartuzach, gdzie był jednym z czołowych organizatorów i pierwszym prezesem Towarzystwa Popierania Przemysłu Ludowego. W okresie studiów w Instytucie Samorządu Terytorialnego w Warszawie był prezesem Stowarzyszenia Przyjaciół Pomorza. Kampanię wrześniową przebył jako oficer w jednym z pułków kaszubskich walczących pod Puławami. Od roku 1940 jest żołnierzem Gryfa Kaszubskiego, a później Gryfa Pomorskiego. Był ostatnim naczelnym komendantem tej pomorskiej organizacji ruchu oporu. W partyzantce walczył do 1944 r., tj. do chwili aresztowania go przez Gestapo. W ostatnich miesiącach przed wyzwoleniem walczył jako żołnierz 44 dywizji radzieckiej.

Po wyzwoleniu Aleksander Arendt pracował na różnych odpowiedzialnych stanowiskach w kartuskim starostwie i Urzędzie Wojewódzkim. M. in. zajmował stanowisko wicestarosty powiatu gdańskiego, a następnie pracował na stanowisku starosty w Kościerzynie. A. Arendt jest prezesem Zarządu Głównego Zrzeszenia Kaszubskiego od czasu jego powstania. Od wielu lat jest także działaczem Zw. Bojowników o Wolność i Demokrację, oraz członkiem Wojewódzkiego Komitetu Frontu Jedności Narodu.

Za swoją działalność w ruchu oporu oraz za powojenną pracę społeczną A. Arendt otrzymał szereg odznaczeń, m. in. Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski, Srebrny Krzyż Zasługi (dwukrotnie) oraz Medal Dziesięciolecia. Kandyduje do Wojewódzkiej Rady Narodowej w powiecie kościerskim.

Mgr Bernard Kula

Stare i nowe rady

Mgr Bernard Kula, dyrektor Oddziału Narodowego Banku Polskiego we Wrzeszczu i prezes Rady Okręgowej TRZZ w Gdańsku, jest aktywnym działaczem kaszubsko - pomorskim. Z zagadnieniami kaszubsko - pomorskimi zetknął się po raz pierwszy w Warszawie, w okresie studiów prawniczo - ekonomicznych. Był tam prezesem Akademickiego Koła Pomorzan. W latach 1930—1933 był współpracownikiem wydawanego przez dra Aleksandra Majkowskiego „Gryfa". Kandyduje do Wojewódzkiej Rady Narodowej w powiecie kartuskim.

Stoimy przed wyborami do rad narodowych. W dniu 2 lutego mamy zadecydować, kto będzie nami rządził w gromadzie, powiecie i województwie. Na ogół nie doceniamy roli rad w rządzeniu państwem, często nie czujemy w życiu codziennym, by stanowiły one pełnię władzy państwowej, mającej rządzić, prowadzić gospodarkę, dbać o kulturę, zdrowie, oświatę, mieszkania i szereg innych potrzeb ludności. Jakiś dowcipniś rzucił kiedyś powiedzonko o „bezradnych radach". Skąd tak nieprzychylny sąd o radach?

Ustawa o jednolitej władzy państwowej podzielonej na władzę centralną czyli na rząd, oraz na władzę terenową, miała za zadanie zbliżyć władzę państwową do ludu. Czy spełniła ona to zadanie? Częściowo tak, częściowo nie.

Częściowo tak, bo między ludnością a radami i ich prezydiami nie było na ogół tej przegrody biurokratycznej, którą tak dobrze pamiętamy z czasów przedwojennych, kiedy to między ludem a władza dystans był bardzo duży, kiedy nie tylko starosta, ale i jego urzędnicy (nie mówiąc już o wojewodzie i jego urzędnikach) nie byli związani z ludem ani pochodzeniem, ani ideologią i interesami. Władzę państwową lud odczuwał jako ciało nie swoje, lecz dalekie i obce.

A dlaczego częściowo rady nie spełniły swoich zadań?

Złożyło się na to sporo przyczyn, jednak głównie były tu dwa powody:

a) rady nie miały dostatecznych uprawnień oraz środków materialnych do spełnienia swoich zadań,

b) rady nie miały odpowiedniej liczby doświadczonych i mądrych ludzi.

Zajmijmy się nieco bliżej tymi przyczynami.

Z pustego i Salamon nie naleje. Nasze rady także nie. Wydaje się, że naród nasz ma skłonności do stawiania sobie zadań bez uwzględnienia środków, które mogłyby zapewnić spełnienie tych zadań.

A zadania rad na ogół nie są proste: zapewnić ludziom mieszkania, wodę, światło, kanalizację, możliwości kształcenia, rozrywki kulturalne, opiekę lekarską, no i odpowiednie zarobki. Każda rada ma swój budżet. Jest on jednak tak zaplanowany, że zazwyczaj nie wystarcza na sfinansowanie wydatków rady i deficyt pokrywa się z dotacji rady wyższego stopnia lub z budżetu centralnego (jeśli chodzi o radę wojewódzką). Nie zawsze jednak taką dotację się otrzyma, tak więc „krawiec kraje jak mu materii staje". Inaczej mówiąc — rada spełnia swoje zadanie tylko do wysokości środków własnych i otrzymanych, a że dotacje są zawsze niewystarczające, zadania nie są w pełni wykonywane. Niekiedy rady wygospodarowały oszczędności, ale wtedy rada wyższego stopnia zazwyczaj wstrzymywała przyrzeczone dotacje. Nie warto więc było oszczędnie gospodarzyć, gdyż oszczędzający nie miał z tego bezpośredniego pożytku.

Podział dochodów budżetowych w całym kraju był tak ustawiony, że tylko znikomy procent tych dochodów (ca 2,5%) pozostawał w radach wszystkich stopni. Reszta szła do budżetu centralnego i dopiero stamtąd wracała w części (ca 10% ogólnych dochodów budżetowych) jako dotacja dla rad. Tak więc wszystkie niemal zasoby finansowe spływały z terenu do jednego worka i dopiero stamtąd były dzielone według zadań ogólnopaństwowych. Oczywiście ten kto je dzielił, mógł nie wiedzieć, że nie zapewniono wykonania podstawowych zadań lokalnych. A jeśli nawet i wiedział, to mając do wyboru sfinansowanie nowych fabryk a powiedzmy kanalizację Kartuz czy Kościerzyny, wybierał zadanie jego zdaniem, ważniejsze — budowę nowych fabryk.

Tak więc brak dostatecznych własnych dochodów budżetowych, był główną przyczyną małej operatywności rad. Pociągało to za sobą zaniedbanie gospodarki komunalnej i mieszkaniowej, przede wszystkim zaś — zaniechanie utrzymania i rozwijania własnych źródeł dochodu. Konsekwencje tego były różne, przykładowo wymienić można następujące: brak poprawy sytuacji mieszkaniowej, zbyt mała (na głowę mieszkańca) ilość wody, gazu, zbyt słabe oświetlenie, zaśmiecone lub zaśnieżone ulice, przepełnione szkoły i szpitale, komunikacja miejska. Jak widać, są to bolączki podstawowe, które dotyczą każdego mieszkańca miasta czy osiedla. Bolączek tych dotychczasowe nasze rady nie mogły rozwiązać lub rozwiązywały je tylko częściowo.

Poza brakiem środków finansowych i odpowiednich uprawnień (omawiana ostatnio w Sejmie ustawa o kompetencjach rad narodowych rozwiąże tę kwestię), istniała też inna poważna przeszkoda utrudniająca władzy terenowej spełnienie swoich zadań: nieodpowiedni często skład personalny zarówno samych rad, jak i ich prezydiów. W tym wypadku przyczyną jest brak zaufania do naszej ludności w minionym okresie. Wiadomo, że ludność kaszubsko-pomorska w okresie minionym nie była dopuszczona do stanowisk w życiu politycznym i gospodarczym. Czynniki decydujące, jeśli już miały jakąś określoną politykę wobec ludności kaszubsko-pomorskiej, swoją działalnością nie wywoływały entuzjazmu tej lud

(Dokończenie na str. 2)

Gdzieś na Kaszubach

? Czytajcie na str. 6 ?

Prof. Roman Wieloch

Do grupy kandydatów na radnych Wojewódzkiej Rady Narodowej reprezentujących miejscowe, pomorskie społeczeństwo, należy i Roman Wieloch, rodowity Gdańszczanin. W latach międzywojennych członek Związku Polaków w Gdańsku, po wyzwoleniu pracuje w miejskim przedsiębiorstwie budowlanym, a od 1950 roku w Politechnice Gdańskiej, gdzie obecnie zajmuje stanowisko zastępcy profesora w Katedrze Żelbetnictwa.

Kandydaturę jego na radnego WRN, wysunęła gdańska Rada Okręgowa Towarzystwa Rozwoju Ziem Zachodnich, do którego należy od momentu powstania. Ostatnio zasiadł w Radzie Naukowej TRZZ.

A oto jak prof. Wieloch rozumie swoją rolę przyszłego radnego Gdańszczan i Pomorzan.

Najważniejsze — jak mówi — będzie dla niego dążenie do uporządkowania spraw ludności rodzimej, naprawienie wyrządzonych jej krzywd. Naturalnie nie powinno to się odbywać kosztem ludności napływowej. Bez względu na to, czy źle będzie się działo Wilnianinowi czy Gdańszczaninowi, należy pomóc obu. Zatarcie w przyszłości różnic między grupami ludnościowymi, nie tylko zresztą w samym Gdańsku, powinno doprowadzić do powstania nowego typu społeczeństwa pomorskiego. Obie grupy na tym zyskają.

W dalszym ciągu prof. Wieloch sądzi, że należy skończyć z odsuwaniem ludności miejscowej od rządzenia na swoim terenie. Właśnie wśród ludności pomorskiej, ze względu na obiektywne jej wartości, (uczciwość w życiu prywatnym i w pracy), należałoby szukać i reprezentantów władzy i jej wykonawców. Sytuacja obecna, kiedy do WRN i innych rad narodowych kandyduje pewna liczba ludzi z Kaszub, Kociewia, Powiśla i (aczkolwiek niewielka) rodowitych Gdańszczan, jest korzystnym krokiem naprzód. Prof. Wieloch deklaruje też (o ile naturalnie wyborcy uczynią go z kandydata radnym) ścisłą swoją współpracę z grupą Kaszubów, którzy zasiądą w WRN.

Zdaniem Romana Wielocha — wspólnym planem działania, który trzeba by rodzimi radni wnieśli na forum Rady, powinno być (naturalnie w najszerszym zakresie) uporządkowanie naszego województwa, abyśmy chlubić się mogli tradycyjną dla Pomorza uczciwością władzy i kultura życia. R. Wieloch kandyduje do WRN w Nowym Porcie, okręg 6.

I. T.

Andrzej Poraj

Szedłem do brzegu...

Szedłem do twego brzegu
samotny
nieśmiały

po uśmiech ojca
ciepłe spojrzenie matki

po skarb dzieciństwa
żółte grudki
jantaru
i gadające muszelki

i znalazłem je
i zgubiłem

morze ziemio najmilsza
kaszëbë.

1956

Stare i nowe rady

(Dokończenie ze str. 1)

ności i oczywiście nie rozwijały sił społecznych.

Dopiero od roku sytuacja zmieniła się na lepsze. Sądzimy, że dla miejscowej ludności zostały zapalone zielone światła, że droga do pracy politycznej i społecznej jest wolna. Jedną z podstawowych dróg działania są rady. Jacy ludzie są potrzebni na szym radom?

Po pierwsze — winni oni znać środowisko, o którym im przyjdzie decydować: gromadę, powiat, województwo. Trzeba bowiem pamiętać, że radny reprezentuje zawsze ogół wyborców, a więc interesy całej ludności i oczywiście interesy państwa, którego częścią jest przecież dany powiat czy województwo. Jeżeli więc powiedzmy Sierakowice wybiorą radnych do powiatowej rady narodowej, to nie oznacza to, że winni oni reprezentować tylko interesy Sierakowic, ale interesy całego powiatu.

Po drugie — radny musi myśleć nie o sobie, lecz o innych. Na Kaszubach czy w Borach Tucholskich na ogół nigdy nie brakło działaczy społecznych. Natomiast w innych regionach Pomorza, zwłaszcza w tych bogatszych, było z tym więcej kłopotu (np. na Kociewiu czy na Ziemi Chełmińskiej). W ostatnich latach o dobrych działaczy było w ogóle coraz trudniej, co naturalnie jest zjawiskiem bardzo niebezpiecznym. Więź społeczna żyje dopóki są działacze społeczni, gdy ich zabraknie, każdy myśli tylko o sobie.

Otóż w naszych radach w minionym okresie było za mało dobrych działaczy społecznych. Istniał postulat, by w radach zasiadała określona liczba chłopów, określona liczba robotników oraz inteligencji pracującej. Wydaje się, że nie wystarcza, by to był chłop czy pracujący inteligent; ważne jest także, czy są to działacze społeczni. Zasiadający w radach robotnicy, chłopi, adwokaci czy lekarze muszą myśleć kategoriami społecznego interesu.

Po trzecie— w radach muszą zasiąść ludzie światli. Nie znaczy to wcale, że wszyscy winni mieć średnie czy wyższe wykształcenie, ale dobrze będzie, jeśli rada będzie miała ludzi, nie tylko z dobrymi chęciami, lecz także z odpowiednią wiedzą fachową. Zapewni to lepszą pracę poszczególnych komisji. Proces decentralizacji jaki obserwujemy po VIII Plenum zarówno w życiu politycznym jak i gospodarczym (rady robotnicze), idzie w kierunku odpowiadającym przyszłym zadaniom rad narodowych.

Najważniejsze jest, by w radzie znalazła się odpowiednia liczba ludzi do prezydium rady. Nie ulega wątpliwości, że głównym kryterium, to postawa polityczna wybranego. Chodzi jednak o to, by w każdym wypadku szukać połączenia walorów politycznych z wysokimi walorami społecznymi, a zwłaszcza ze zdolnościami do kierownictwa gospodarczego.

Poważnym zadaniem radnych winna być troska o zwiększenie dochodu ogólnonarodowego i dochodu indywidualnego każdej rodziny zamieszkałej w obrębie działania danej rady. Niech rady myślą co trzeba zrobić, by ludzie lepiej zarabiali, zarówno ci na roli, jak i ci w warsztatach. Prawda, ważną jest także rola przemysłu kluczowego. Chodzi jednak o to, by nie oglądać się aż przemysł kluczowy podniesie naszą stopę życiową, ale należy własnymi, lokalnymi środkami podnieść dochodowość ludności. Największe słowo winni tu mieć ekonomiści, działający w oparciu o dobrą znajomość zasobów swojego powiatu czy nawet gromady. A ponieważ w naszych powiatach większość ludzi żyje na wsi, trzeba się będzie zabrać do zwiększenia dochodowości przede wszystkim ludności wiejskiej, co z kolei ożywi rzemiosło wytwórcze i usługowe w osiedlach i miastach powiatowych.

Uchwalona obecnie nowa ustawa o radach narodowych, obok ustawy o radach robotniczych, daje nam możność odpowiednie go sprawowania władzy państwowej w naszym regionie dla dobra naszego ludu i całej Polski Ludowej. Będzie to dla nas wielki egzamin.

MGR BERNARD KULA

Krótkie wieści z Kaszub

Wódka w Jastarni

Sprawa życia kulturalnego w osadach rybackich jest sprawą omawianą od lat, która niestety nie doczekała się dotąd realizacji. Z braku godziwych rozrywek młodzież rybacka i dorośli wieczory spędzają w miejscowych restauracjach na zbiorowej konsumpcji napojów alkoholowych. Że jest to konsumpcja wysoka świadczy statystyka dokonana w osadzie Jastarnia na półwyspie helskim.

Otóż dzienne spożycie alkoholu w Jastarni wynosi przeciętnie 40 litrów, w niedziele zaś i święta 60 litrów. Rocznie więc osada ta wypija ok. 18 tysięcy litrów wódki, co daje na głowę mieszkańca roczne spożycie 6 litrów alkoholu. Ponieważ w osadach rybackich kobiety z zasady nie piją, należy przyjąć, iż każdy mężczyzna — wliczając statystycznie starców i niemowlęta płci męskiej — wypija przeciętnie w ciągu roku po 12 litrów alkoholu.

Wzmaga się walka z pijaństwem

W ub. miesiącu powstał w Kościerzynie Powiatowy Komitet Przeciwalkoholowy, w skład którego weszli przedstawiciele Prezydium PRN, PKKF, organizacji młodzieżowych i niektórych zakładów pracy. Komitet postanowił wzmóc walkę z plagą pijaństwa, m. in. poprzez władze administracyjne miasta, milicję, nauczycielstwo i organizacje młodzieżowe. Skutecznym środkiem do zwalczania pijaństwa winny być decyzje kolegium orzekającego oraz kontrola milicji dotycząca przestrzegania przepisów o sprzedaży alkoholu. (t)

„Elektryczny" do Wejherowa

31 grudnia ub. r. dokonano uroczystego otwarcia linii kolei elektrycznej na trasie Gdynia — Wejherowo. Mieszkańcy Rumii, Janowa Redy, Śmiechowa i innych miejscowości położonych w pobliżu nowej linii oraz samego Wejherowa, doczekali się wreszcie doskonałego połączenia komunikacyjnego z Trójmiastem. W godzinach rannych (do 7,50) kolejka kursuje co 20 minut. Podobnie po południu — między godz. 15,30 i 16,30, a więc w czasie szczytowej frekwencji pasażerów. W pozostałych godzinach pociąg kursuje co 40 minut.

Nowa linia, budowana od 1951 r., kosztowała ok. pół miliarda złotych, przy czym suma ta nie obejmuje inwestycji, jeszcze nie zrealizowanych całkowicie, bądź dopiero projektowanych (np. niektóre tunele mające ułatwić dojście na perony).

Z dotychczasowej komunikacji pociągów parowych na trasie Wejherowo — Gdynia korzystało dziennie ok. 15 tys. pasażerów. Obecnie po uruchomieniu sprawnej komunikacji, należy oczekiwać znacznego zwiększenia liczby stałych pasażerów, gdyż wzdłuż całej niemal trasy rozwija się bardzo intensywnie indywidualne budownictwo mieszkaniowe.

(a.z.)

Powstaje klub młodzieżowy

Niedawno Komitet Powiatowy Związku Młodzieży Socjalistycznej w Kościerzynie wystąpił z inicjatywą zorganizowania młodzieżowego klubu rozrywkowego. Celem inicjatorów jest danie młodzieży kościerskiej warunków astrakcyjnego spędzenia wolnego czasu i odciągnięcie jej tą drogą od szkodliwych wpływów miejscowej chuliganerii, od warcholstwa i pijaństwa.

Inicjatywa jest cenna i godna poparcia władz tym bardziej, że młodzież miasta nie może narzekać na nadmiar instytucji kulturalnych. Jednak tego rodzaju placówka spełni swoje zadanie pod jednym zasadniczym warunkiem, mianowicie, że nie będzie to klub ekskluzywny, przeznaczony jedynie dla członków ZMS. Błędem byłoby przypuszczać, że w taki sposób zachęci się młodych do wstąpienia do Związku Młodzieży Socjalistycznej. Zresztą nie byłoby to także zgodne z zasadniczymi celami tej organizacji młodzieżowej, gdyż celem ZMS jest praca kulturalna i dydaktyczna wśród całej młodzieży, a nie w nielicznym jak dotąd, gronie członków.

Miarą popularności klubu będzie także charakter pracy jego kierownictwa, formy zajęć kulturalnych młodzieży. Wiadomo przecież, iż dawniej istniejące kluby młodzieżowe żyły przede wszystkim dlatego, że zabezpieczono je w solidne dotacje państwowe, nie zaś z racji dobrej frekwencji. Rodzaj i ilość sekcji zainteresowań winny być uzależnione od chęci członków, a nie od wytycznych kierownictwa klubu czy jakiejś wyższej instancji. Lepiej mieć jedną czy dwie dobrze pracujące sekcje, niż pięć martwych, istniejących jedynie w wykazie kierownictwa klubu.

(a.z.)

PURTKOWI do śmiechu

Drżyjcie kościerscy alkoholicy!

Prezydium Miejskiej Rady Narodowej w Kościerzynie postanowiło energicznie zabrać się do walki z plagą pijaństwa, które w „niedźwiedzim grodzie" zdaje się kwitnąć lepiej, niż w niejednym mieście naszego województwa. Bojowa decyzja Prezydium MRN wyraża się w postanowieniu przeniesienia baru mieszczącego się obecnie przy rynku na ulicę Bieruta.

Ha! Nareszcie zadano mocny cios Kościerzanom łaknącym ognistego napoju. Drżyjcie alkoholicy! Będziecie teraz musieli fatygować się kilkaset kroków dalej, by znaleźć się w ukochanym przybytku. Oczywiście tylko wtedy, jeżeli koniecznie pragniecie pić w barze, bo butelczynę do „użytku domowego" dostaniecie również na rynku i to nawet w kilku sklepach. (a. z.)

Ludzie z średniowiecza?

Na grudniowym zebraniu Powiatowego Komitetu Przeciwalkoholowego w Kościerzynie spotkali się ludzie różnych zawodów i instytucji. Zaproszenia organizatorów zlekceważyli tylko lekarze, a więc ludzie, którzy bardziej niż inni winni się interesować walką z plagą pijaństwa.

W średniowieczu eskulap zacierał ręce na widok delikwenta dobrowolnie mordującego swoje zdrowie. Nie posądzamy kościerskich lekarzy o podobną „Schadenfreude", jednak... właśnie, co sądzić o lekceważeniu pijaństwa przez lekarzy z Kościerzyny?

(s. t.)

Ulice Jastarni noszą kaszubskie nazwy

Na jednej z ostatnich sesji, Osiedlowa Rada Narodowa Jastarni podjęła uchwałę, na mocy której zostały zmienione nazwy ulic w osiedlu. Rada chcąc upamiętnić znanych działaczy kaszubskich, nadała kilku ulicom ich nazwiska. Wśród nich znajdują się ulice: Abrahama, Ceynowy, Męczenników Piaśnicy i in.

Oby śladem Jastarni poszły i inne osiedla na terenie Kaszub.

(s)

Wkrótce 700-lecie Tczewa

Leżące nad Wisłą miasto Tczew należy do najstarszych w kraju. Liczy ono blisko 700 lat, gdyż tyle czasu upłynęło od chwili, gdy książę pomorski Sambor nadał osadzie prawa miejskie.

Wprawdzie uroczystości 700-lecia Tczewa obchodzone będą dopiero w r. 1960, ale już teraz „ojcowie miasta" myślą o pierwszych przygotowaniach. M. in. powołany zostanie w najbliższym czasie Komitet Organizacyjny, który opracuje szczegółowy program prac związanych ze zbliżającym się jubileuszem.

Nasi kandydaci

Lech Bądkowski

Lech Bądkowski jest nie tylko literatem ale i znanym na Wybrzeżu działaczem społecznym. Jego czynne zainteresowania ruchem pomorsko - kaszubskim sięgają lat ostatniej wojny. Bądkowski był jednym z organizatorów Związku Pomorskiego, działającego w Anglii w latach 1945—46. W okresie działalności londyńskiej napisał też broszurę pt. „Pomorska myśl polityczna".

Po powrocie do kraju dał się poznać przede wszystkim jako publicysta i literat, przy czym zarówno twórczość publicystyczna jak i literacka jest tematycznie ściśle związana z naszym regionem. Mgr Lech Bądkowski jest jednym z głównych organizatorów Zrzeszenia Kaszubskiego, w którym do niedawna pełnił funkcję wiceprezesa. Jednak poważne obowiązki zawodowe i społeczne (jest kierownikiem literackim teatru „Miniatura" oraz prezesem Oddziału Gdańskiego Związku Literatów Polskich) i teraz nie przesłaniają Bądkowskiemu spraw naszego Zrzeszenia. Mgr Lech Bądkowski kandyduje do WRN w powiecie wejherowskim.

1920 — 1924

Na zdjęciu: wykładowcy i uczniowie szkoły rolniczej, która w latach 1920—1924 istniała w Kościerzynie. Kształciła ona młodzież nie tylko z Kaszub, ale także z Kociewia, Kosznajderii i Krajny. Program nauczania rozłożono na dwa zimowe kursy. Absolwenci kościerskiej szkoły rolniczej wyróżniali się nie tylko poważną wiedzą rolniczą ale także uchodzili za ludzi o wysokiej kulturze osobistej i społecznej.

KASZUBI w AMERYCE

W świątecznym numerze (nr 50) „Tygodnika Powszechnego" w artykule „Madonna House wśród jezior Kanady" czytamy następujący fragment dotyczący Kaszubów w Ameryce:

„Droga, która tam wiedzie, jest pełna dziwów. To wynosi nas na wzgórze, skąd rozległy widok na lasy, ciągnące się daleko aż po krańce horyzontu, to znowu gwałtownie sprowadza w dół. Przy takim zjeździe wpadamy niemal na tabliczkę z napisem:

WILNO

drive slowly

Wilno jest maleńką osadą z wielkim kościołem na wzgórzu i prześlicznym widokiem na dolinę. Osiedlili się tu Kaszubi. Nazwano osadę Wilnem na prośbę proboszcza — tak powiadają ludzie, czwarte pokolenie, które nie widziało ojczyzny i mówi po polsku. Pradziadów ich przyciągnął tu pono urok krajobrazu, rodzący wspomnienia o Szwajcarii Kaszubskiej. Zaszyli się po lasach, w krainie niezliczonych jezior, nieraz wysoko na samej górze. Gdzie tylko sięgnąć okiem — dopytasz się po polsku.

Drive slowly. Nie warto się spieszyć. Popatrz lepiej na wyniosłe sosny. Przez sam środek tej polskiej krainy przepływa leniwie wielka rzeka o indiańskim nazwisku: Madawaska River. To właśnie tu, nad samym jej brzegiem stoi dom, do którego zmierzamy..."

Przytoczony powyżej fragment przypomniał mi list, jaki niedawno otrzymał redaktor Oddziału Gdańskiego „Słowa Powszechnego", na jego zapytanie w sprawie Kaszubów, skierowane do redakcji „Dziennika Związkowego" (Editorial Departament Polish Daily Zgoda — Dziennik Związkowy — Chicago, Illinois).

Fragment listu brzmi: „Polonia Kaszubska w Ameryce, dawniej bardzo liczna, częściowo wymarła, częściowo zniemczyła się a częściowo zamerykanizowała, tak że władających teraz językiem kaszubskim nie ma bardzo wielu. Życie kaszubskie skupia się jeszcze w kolonii — Winona, Minnesota, I Stevens Point, Wisconsin..."

Wydaje mi się, że problemowi Kaszubów za Oceanem warto poświęcić nieco więcej uwagi. Niedawno w jednym ze swoich reportaży nieco miejsca poświęcił im Arkady Fiedler... W czasie, gdy Hieronim Derdowski dokonywał swych objazdów po Ameryce Północnej, było tam 130.700 Kaszubów. A więc czy nie warto znowu ich szukać?

(Lu)

W następnym numerze: „MICHAŁKO"

CZESŁAW SKONKA

Autokarem przez Czechosłowację (1)

Słowacja wita nas... śnieżycą

Autokar stanął w Niskich Tatrach, na przełęczy pod Dumbierem...

Kontrola celna jest już poza nami. Błękitny autokar PTTK minął Łysą Polanę i pierwsze kilometry słowackiej szosy. Mimo późnej zimowej pory, wybraliśmy się polskim „Starem" na 8-dniowy raid po Czechosłowacji. Koszta — 1.260 zł.

Na początku wyprawy — niespodzianka. W Zakopanym żegnało nas słońce, a już za chwilę, w Słowacji, poczuliśmy prawdziwą zimę. Autokar zaatakowała wichura śnieżna. „Star", stękając powolutku pnie się w górę, pokonując z trudem tatrzańskie serpentyny. Z okien wozu obserwujemy czeskie „Skody" mijające nas z łatwością.

Okolice, które mijamy, to Wysokie Tatry. Trzy czwarte masywu górskiego znajduje się po stronie czeskiej, reszta na granicy polskiej. Czeski rejon Wysokich Tatr, to „kopalnia" dolarów, funtów, rubli i polskich złotówek. U podnóża Wysokich Tatr, na przestrzeni kilkudziesięciu kilometrów, w Tatrzańskiej Lomnicy, czterech Smokowcach, Strbskim Plesie i innych miejscowościach, rozlokowały się luksusowe hotele, restauracje, domy wczasowe, uzdrowiska, sanatoria, zakłady lecznicze, schroniska turystyczne itd. Czynne prawie przez cały rok, goszczą one turystów i kuracjuszy: czeskich, polskich, niemieckich, węgierskich, angielskich, rosyjskich — łącznie ponad pół miliona osób rocznie. Cały „Okres Vysokich Tatr", posiada kilkadziesiąt kilometrów kolejki elektrycznej, kolejki linowej (na Hrebienok i Lomnicki Szczyt), dobrze utrzymane asfaltowe drogi, setki świetnie zaopatrzonych sklepów i kiosków. Warto, by i u nas pomyśleć o takich udogodnieniach. U podnóża polskich Tatr, przydałaby się kolejka elektryczna i dobre nawierzchnie drogowe, nie mówiąc już o konieczności zorganizowania reklamy turystycznej, takiej, jaką uprawiają nasi czescy przyjaciele.

Na pierwszym postoju w „Tatrzańskiej Lomnicy" wymieniamy czeki na korony. W pobliskich kioskach przyciągają oczy południowe owoce: cytryny, pomarańcze, figi, rodzynki. Cena cytryn i pomarańczy waha się w granicach od 12—15 koron za kilogram. Przy ladach nie widać kolejek kupujących, nie ma tłoku. Dziwi nas ten fakt. Zapomnieliśmy jednak, że to przecież nie polskie „Delikatesy".

Śnieżyca ustała. Ruszamy w dalszą drogę, mijając zbocza Lomnicy (2634 m), Gerlachu (2663m), Kriwania (2496 m). Nazwa tej ostatniej góry przechowała się w wielu legendach słowackich, przypominając, że właśnie tutaj Słowacy walczyli niejednokrotnie o swoją wolność.

Schronisko, w którym zatrzymujemy się na pierwszy nocleg, leży u podnóża Niskich Tatr, w Liptowskim Kikularzu, nad rzeką Wag. Dysponuje ono 180 miejscami. Jest to dobra baza dla turystów robiących „wypady" w „Niskie Tatry", a głównie do słynnych Demanowskich Jaskiń. Korytarze zespołu tych jaskiń, ciągną się na przestrzeni 9 km. Dla turystów udostępniona jest tylko 4,5 km trasa.

Zwiedzamy właśnie jedną z pięciu Demanowskich Jaskiń — Jaskinię Wolności. Jest to największa i najbardziej malowniczo położona jaskinia „Slovenskeho Krasu". Wejście do niej odkrył w 1921 roku Alojz Kral. Zajmuje ona obszar 800 km kw.

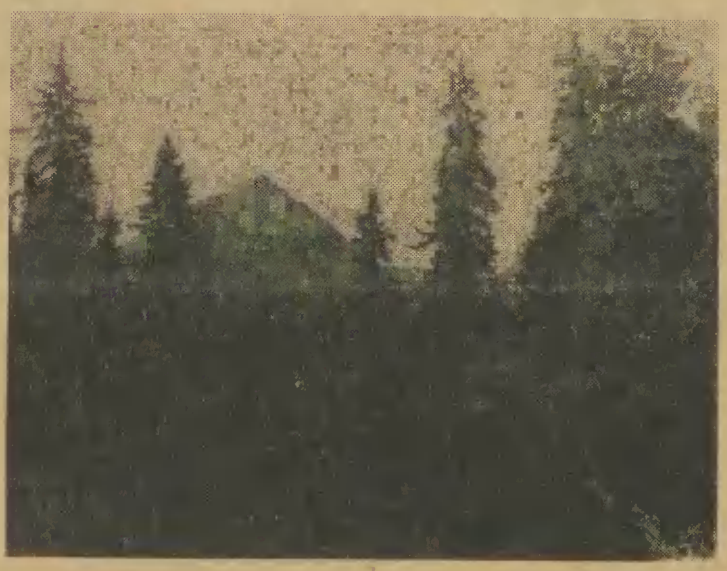

Krivan — 2496 m — narodowa góra Słowacji w Wysokich Tatrach
Foto: CZ. SKONKA

Trudno oddać w kilku słowach wrażenia, jakie wywiera na zwiedzającym ten naturalny „pałac" o tysiącach korytarzy. Przyroda wyposażyła go w źródła, minerały, ozdobne stalaktyty i stalagmity. Reflektory wskazują ce turystom drogę, oświetlają podziemne jeziora i skalne wyskoki, nadając całości wygląd obrazu z bajki.

Jaskinie „Slovenskeho Krasu" zdobyły szeroką popularność wśród turystów krajowych i zagranicznych. W 1957 roku zwiedziło je 190 tys. osób. Za przyjemność obejrzenia jaskiń, trzeba zapłacić 4,5 korony — w przeliczeniu na zł polskie — 9 zł. Daje to rocznie mln kor. zysku. Innym źródłem dochodów, są liczne hotele, restauracje i kioski gęsto rozsiane na terenach Wysokich i Niskich Tatr.

Wzorując się na Słowakach, można by i u nas uruchomić taką „kopalnię pieniędzy". Wystarczy tylko wyposażyć w odpowiednie obiekty turystyczne nasze 500 km Wybrzeże, a napływ wczasowiczów z „walutą" będzie zapewniony.

Do Bratislavy trasa prowadzi przez Niskie Tatry. Mamy teraz naprawdę „alpejskie" przygody. „Star" pnie się serpentynami Dumbieru (2045 m). Wysoki śnieg utrudnia jazdę... i nagle stajemy. Wóz cofa się do tyłu, przeczepka z benzyną stacza się do rowu. Koła kręcą się ale „Star" nie rusza z miejsca. Kładziemy koce pod koła. Nie pomaga. Ostatni ratunek w gałęziach. Z bólem serca łamiemy ośnieżone drzewka i rzeczywiście ruszamy dalej. W drodze podziwiamy piękne okolice i jedną z wielu osobliwości Czechosłowacji - drogowe lustra. Duże ok. 1m średnicy, podwójne zwierciadła umieszczone są na skrzyżowaniach ważniejszych dróg. Kierowcy już z daleka mogą zorientować się w sytuacji na jezdni i dzięki temu unika się wielu katastrof.

Mimo, że rozpoczęła się już zima, w południowej Słowacji jest jeszcze ciepło. Przed chwilą patrzyliśmy na pokryte śniegiem wzgórza, a teraz obserwujemy jesienną orkę. Na polach widać obok traktorów, także zaprzęgi wołów. Okolice przypominają swoim widokiem nasze Kaszuby. Brak tylko jezior. W dolinie gromadzą się domki: białe, żółte, niebieskie. Kościoły, w większości małe z jedną wieżą, pojawiają się raz za razem. Jest ich dużo. Skupiska małych kapliczek przypominają nasze kalwarie. Widać wschodnie wpływy w stylu budownictwa. Nic dziwnego, tereny te okupywane były początkowo przez Turków, a później rządzili tu Węgrzy. Pod Bratislavą jest nawet jeszcze kilka wsi węgierskich.

W Bratislavie przygarnia nas na nocleg „Hrad". Jest to schronisko „Turisty" (odpowiednik naszego PTTK), urządzone w starym zamku pochodzącym z 907 roku. W przeciwieństwie do naszego „Hradu", miasto ma wygląd nowoczesny. Duże jasne bloki, szerokie autostrady, nadają temu 250 tys. miastu wygląd europejski. W zestawieniu z nimi stare, zabytkowe budowle, tracą trochę ze swojej wielkości.

Bratislava — stolica Słowacji — jest zarazem ośrodkiem życia politycznego i kulturalnego całej prowincji. Słowacja posiada dużą samodzielność. Mimo, że wchodzi w skład Republiki Czechosłowackiej ma własny Sejm, ministerstwa, wydawnictwa itd. Na 7 wyższych uczelniach kształci się słowacka młodzież. Miasto posiada 5 muzeów, 6 teatrów, 7 kin, stację radiową i telewizyjną, filharmonię.

Zwiedzanie Bratislavy rozpoczynamy od spaceru „nad pięknym modrym Dunajem"! Ta straussowska piosenka przypomina, że przecież zaledwie 58 km dzieli nas od Wiednia — miasta, gdzie żył i pisał jej kompozytor. Rzecz jasna, że bliskość tak potężnej stolicy, musiała wywrzeć wpływ na losy Bratislavy. W okresie panowania węgierskiego i monarchii austro-węgierskiej, odbywały się tu ważne uroczystości państwowe. W bratislavskiej katedrze, koronowanych było 11 królów i 8 królewień słowackich, węgierskich i innych. Tu w 1805 roku po bitwie pod Austerlitz, podpisany został pokój między Austrią i Francją. Nie bez racji będzie więc nadanie miastu drugiej nazwy — „Mala Vieden".

W towarzystwie prof. Vladimira Plicki oglądamy zabytki miasta, piękne kościoły, zamki pochodzące z różnych epok, które pozostawiły po sobie ślad w postaci zróżnicowanych stylów architektonicznych. Przewodnik stara się zaznajomić nas z historią i tradycjami miasta. Jedną z nich, dotychczas jeszcze stosowaną, jest „obowiązek" wychylenia lampki wina w jakiejś małej winiarni, których sporo jest w malowniczych, bratislawskich zaułkach. Z przyjemnością czynimy tej tradycji zadość.

Po parodniowym pobycie w Bratislavie, który minął niewiarygodnie szybko, żegnamy prof. Plickę. Profesor ma łzy w oczach. Nam również jest przykro rozstać się z miłym opiekunem i z tym miastem, które oczarowało nas swoim urokiem.

CZESŁAW SKONKA

W wejherowskim pracują nieźle

W powiecie wejherowskim pracuje obecnie 30 kółek rolniczych, zrzeszających 835 członków. Poza tym we wsiach tego powiatu istnieje 9 Kół Gospodyń Wiejskich (112 członkiń), 6 Zespołów Przysposobienia Rolniczego (57 członków) oraz 9 związków branżowych. Praca kółek rolniczych w powiecie wejherowskim, podobnie jak w innych powiatach, idzie w czterech zasadniczych kierunkach: szerzenie wiedzy rolniczej poprzez pogadanki prowadzone przez instruktorów PZ K i OR dostarczanie gospodarzom dobrych gatunków nasion oraz rasowego bydła, trzody i drobiu, podnoszenie poziomu rolnictwa, poprzez członków prowadzacych poletka doświadczalne, oraz udzielanie chłopom pomocy poprzez dostarczanie paszy, materiałów budowlanych (głównie cementu) i artykułów przemysłowych (motocykli, rowerów, pralek, motorowerów itd.).

PZK i OR w Wejherowie posiada szereg kół naprawdę dobrze pracujących. I tak np. koło w Strzepczu sprowadziło dla swoich członków 17 wagonów pulpy ziemniaczanej, wagon wytłoków, dwa wagony nawozów sztucznych, 200 drzewek owocowych, wybudowało 7 silosów, założyło 5 ha nowych łąk itd. Podobnymi osiągnięciami mogą się poszczycić koła w Kłębowie, Szemudzkiej Hucie i inne.

Nieźle pracują również niektóre Koła Gospodyń Wiejskich. Kobiety w Czymanowie i Kniewie założyły dwa zespoły hodowli drobiu, koło w Luzinie — kurs gotowania. Większość KGW organizuje zabawy, a zebrane w ten sposób pieniądze przeznacza na wycieczki i inne potrzeby swoich kół.

Z kół PR najlepiej pracuje zespół w Szemudzkiej Hucie, który na swoim poletku wyhodował 444 kw. marchwi, oraz zespół w Kieleńskiej Hucie — 372 kw. ziemniaków.

BORYS SZYSZKO

Władysław Wojciechowski

LIST

Wszystkiego w liście nie pomieszczę.
Morze Północne... dnia... kochana..
Odkładam pióro — cóżbym jeszcze
Mógł ci przekazać w kilku zdaniach.

Że tęsknię — wiemy, to nie nowe,
Nie jest to wieść niespodziewana.
Wszystko odczujesz, gdy ci powiem:
Morze Północne... dnia... kochana..

Nasi kandydaci

Gereon Grzenia-Romanowski

Kmdr Grzenia — Romanowski jest zastępcą dowódcy Marynarki Wojennej. Po zakończeniu działań wojennych był zastępcą dowódcy 16 Kaszubskiej Dywizji Piechoty, następnie dowódcą pułku i wreszcie kierownikiem Studium Wojskowego w Politechnice Gdańskiej. Na obecne stanowisko został powołany po Październiku. Jest aktywnym działaczem kaszubskim. Kandyduje do Wojewódzkiej Rady Narodowej w powiecie wejherowskim.

„Bałtyckie Kłosy" stały dodatek rolniczy „Dziennika Bałtyckiego"

Dobrze się stało, że redakcja „Dziennika Bałtyckiego" wystąpiła z inicjatywą wydawania stałego dodatku rolniczego p.t. „Bałtyckie Kłosy". Rolnicy województwa gdańskiego, wśród których zdecydowaną większość stanowią czytelnicy „Dziennika", już od dawna odczuwali brak własnego dodatku rolniczego. Wprawdzie „Dziennik Bałtycki" poświęcał stale znaczną uwagę problematyce rolnej (głównie na kolumnach mutacyjnych), jednakże z braku miejsca musiał ograniczać się często do fragmentarycznego naświetlania niektórych zagadnień rolnych ze szkodą dla czytelników wiejskich.

„Bałtyckie Kłosy" — sądząc po wydanych już ośmiu kolumnach — wypełniają tę lukę z powodzeniem. Zwracając pilną uwagę na ogólne problemy rolnictwa gdańskiego (zaopatrzenie wsi, praca samorządu chłopskiego, rozwój hodowli, aktywizacja terenów rolniczo zaniedbanych) nie zapominają również o drobnych lecz istotnych bolączkach i kłopotach mieszkańców wsi, które najczęściej znajdują swój wyraz w stałej rubryce „Listy ze wsi".

Dużą pomocą dla chłopów stanowią także porady rolnicze, które — mamy nadzieję — znajdą w „Kłosach" swój stały kącik.

W sumie można powiedzieć, że „Bałtyckie Kłosy" wystartowały dobrze. Oby nadal kontynuowały tę działalność z pożytkiem dla całej wsi gdańskiej i naszych kaszubskich gburów.

(m. g.)

Zapomniany gród księcia Racibora

Franciszek Mamuszka

Prawdopodobnie niewiele osób mijających w przejeździe z Lęborka do Łeby maleńką wioskę o interesującej nazwie Białogarda wie, że mieściła się tu niegdyś stolica udzielnego księstwa oraz warowny i trudny do zdobycia słowiański gród obronny.

Białogarda. Na pierwszym planie teren fosy.

Gród ten, początkowo siedziba kasztelana, awansuje w trzecim dziesięcioleciu XIII w. do roli rezydencji niezależnego przez jakiś czas władcy okolicznych obszarów, ochrzczonych później mianem Ziemi Lęborskiej. Władcy temu niektórzy historycy przypisują wystawienie w dniu 27 grudnia 1229 r. dokumentu, na którym widnieje okrągła pieczęć z patrzącym wstecz orłem i częściowo tylko czytelnym napisem „Ratibori ducis s..." — zapewne Ratibori ducis slavorum.

Racibor był najmłodszym synem księcia gdańskiego Mszczuja I, a bratem najwybitniejszego z wschodnio-pomorskich władców — księcia Świętopełka II. Objąwszy wyznaczone przez ojca dziedzictwo, co nastąpiło przed 1229 r., przystąpił przede wszystkim do wzmocnienia obronności grodu w Białogardzie. Mówi o tym skarga Świętopełka ,w której czytamy, że „...frater meus Ratheburius... castrum suum Belgard firmissime munivit et cum omnibus, guos habere poterat, terram meam Slupsch dictam hostiliter invadens bonis omnibus spoliatam occupavit".

Jak z przytoczonego tekstu wynika, Racibor uczynił ze swego zamku potężną fortecę, a następnie zaczął pustoszyć i grabić na leżące do starszego brata ziemie. Zaznaczyć trzeba, iż poczynania te wynikały z przynależności Racibora do wrogiego Świętopełkowi przymierza, do którego wchodził biskup kujawski, panujący w Lubieszewie książę Sambor i inni. Potężny Świętopełk uporał się jednak z wrogą sobie koalicją, a pragnąc zupełnego bezpieczeństwa na zachodzie, wyprawił się latem lub jesienią 1238 r. do Białogardy, zdobył i spalił zamek, włączając równocześnie księstwo Racibora do swego państwa.

Odtąd Świętopełk tytułuje się jako „dux Pomeranie et Gedanensis et Belgardensis", niemniej w niektórych dokumentach zjawia się imię jego brata jako dzielnicy księstwa białogardzkiego: i tak w nadaniu Świętopełka z 1262 r. dla jednego z klasztorów wymieniony jest Racibor jako świadek z tytułem „dux Slauorum".

Na kilka lat przed śmiercią, która nastąpiła około roku 1275 Racibor, który zawsze sprzyjał Krzyżakom, stał się członkiem Zakonu, z czego wynikły pretensje krzyżackie do Białogardy, wysunięte w 1276 r. Z następnych lat mamy przekaz o białogardzkim województwie Dobigniewie (Dobigneus Palatinus Belgardensis) oraz wiadomość, że w 1287 r. odbył się tutaj zwołany przez znany ród Święców, zjazd wielmożów pomorskich.

Z chwilą zagarnięcia Pomorza przez Krzyżaków (1309) kończy się okres świetności Białogardy, a na widownię dziejową wchodzi Lębork, gdzie mieści się w ciągu następnych wieków ośrodek władzy nad dawną kasztelanią i księstwem białogardzkim. Zamek Racibora pustoszeje i popada stopniowo w ruinę, gdyż Zakon celowo likwidował dawne grody słowiańskie. Tętniąca niegdyś życiem, wypełniona tłumem zbrojnych wojów, odgrywająca przez pewien czas znaczną rolę polityczną Białogarda popada w zupełne niemal zapomnienie.

Dzisiaj jedyną pozostałością z wczesnego średniowiecza jest doskonale zachowane grodzisko, położone na północ od przykościelnego cmentarza. Rzuca się w oczy naturalna obronność grodu, znakomicie usytuowana na wyniosłym, wysuniętym w bagnistą dolinę cyplu o kilkadziesiąt metrów wysokich urwistych zboczach. Od cokołu wysoczyzny oddzielony był gród ogromną, około 8 m. szeroką fosą, zawsze jeszcze wyraźnie zaznaczającą się w terenie. Wybraną przy jej kopaniu ziemię wykorzystano do zbudowania potężnego wału, który najeżony był zapewne niegdyś dębową palisadą. Wał ten, dziś jeszcze około 6 m wysoki, zachował się na całej linii wzdłuż wymienionej szosy. Do grodu prowadził most ponad fosą i brama mieszcząca się najprawdopodobniej w południowo-zachodniej części fortecy.

Po budowlach zamkowych nie pozostało najmniejszego śladu. Nie ma również żadnych o wyglądzie rezydencji książęcej, a tylko wzmianka o zamkowej kaplicy św. Marka, którą w 1257 r. obsługiwało dwu kapelanów — Andrzej i Wojciech. Pod ich opieką znajdowała się również druga kaplica, św. Jerzego, w przygrodowej osadzie. Na jej miejscu zbudowano później kolejno kilka kościołków. Ostatni z nich, a właściwie pozostałą po nim, chylącą się do upadku wieżę rozebrano w 1845 r., odsyłając wcześniej sprzęt do Lęborka. W 1900 r. sprzedano 3 cenne (dziś już nieistniejące) dzwony z XVII i XVIII wieku miejscowym ewangelikom do ich nowego, ceglanego kościółka.

U podnóża zamkowego wzniesienia, po północnej jego stronie stał założony w 1296 r. młyn zbożowy, poruszany wodą Lędziechowskiej Strugi, doprowadzaną kanałem, który istnieje do dziś i służy temu samemu celowi, dostarczając wody do turbiny nowoczesnego młyna.

Na wzmiankę zasługuje piękne położenie wsi na zboczu wysoczyzny morenowej. Szczególnie malowniczy widok roztacza się z wału grodziska. Widać stamtąd rozległą dolinę rzeki Łeby, ciągi niewysokich wzniesień i ciemne smugi lasów w okolicy Łeby i jeziora Łebsko.

Państwowa Lecznica Zwierząt
Foto: F. MAMUSZKA

Białogarda zasługuje na to, by zainteresowali się nią turyści, wędrujący po pięknej Ziemi Lęborskiej.

FRANCISZEK MAMUSZKA

Młynówka i nowy budynek młyna wodnego, czynnego tu w 1926 r.

W następnym numerze:

»Czapka«

opowiadanie

Róży Ostrowskiej

Wrzenia rewolucyjne na Pomorzu w latach 1918 - 1919

- **Kaszubi rozbrajają Grenzschutz**
- **Organizacja Wojskowa Pomorza**

W drugiej połowie grudnia 1957 r. odbyła się w Starym Ratuszu w Gdańsku dwudniowa Sesja Naukowa poświęcona 40-leciu Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej i jej oddziaływaniu na Pomorze Wschodnie, zorganizowana przez Wojewódzki Komitet obchodu tej rocznicy wraz z Katedrą Historii Polski i Powszechnej XIX i XX wieku Uniwersytetu M. Kopernika w Toruniu oraz Wyższą Szkołą Pedagogiczną w Gdańsku.

Z referatów pierwszego dnia obrad szczególne wrażenie na słuchaczach zrobił referat dr Mariana Wojciechowskiego, omawiający tendencje rewizjonistyczne w przedwojennej oraz najnowszej historiografii niemieckiej. Z referatów dnia następnego, omawiających rolę i wpływy Wielkiej Rewolucji Październikowej w świecie i w Polsce, warto choć kilka zdań przytoczyć z referatu mgr Kazimierza Wajdy pt. „Wrzenia rewolucyjne na Pomorzu Gdańskim (1918—1919)", omawiające rozwój tych wypadków na Kaszubach; prelegent stwierdził, że „wybuch rewolucji w Niemczech wpłynął ożywiająco na walkę narodowo-wyzwoleńczą polskich mas ludowych. I tak np. 12. XI 1918 r. alarmowano z pow. kartuskiego, że wieś odmawia dostawy żywności. Były także liczne wypadki rozbrajania przez chłopów znienawidzonych niemieckich leśników. W Kościerzynie (np. w dniu 13. XI 1918 r.) obalono burmistrza-hakatystę i na jego miejsce wybrano Polaka. Stało się to przy współudziale Rady Robotniczo - Żołnierskiej". Dalej, że „wybuch powstania wielkopolskiego w końcu grudnia 1918 r. oddziałał pobudzająco na postawę polskich mas ludowych na Pomorzu gdańskim. I tak np. w Chełmży silna była wśród robotników polskich chęć pójścia za przykładem Wielkopolski. Nastroje te panowały w pierwszych miesiącach roku 1919 i w innych rejonach Pomorza. Przejawem tych nastrojów były żywiołowe wystąpienia polskich mas ludowych w odpowiedzi na zaostrzony terror Grenzschutzu. W styczniu 1919 r. doszło do zbrojnych starć w Czersku i Chełmży oraz do rozbrojenia Grenzschutzu w Kościerzynie. Starcia te jednak nigdzie nie przerosły w powstania z uwagi na brak uzbrojenia i organizacji wśród ludności polskiej oraz na skutek militarnej prze-

(dokończenie na str. 5)

Jan Piepka

Samotnô gôdka

Jan Piepka, albo Staszków Jan, należy do młodego pokolenia pisarzy kaszubskich. Jest autorem nstp. książek: „Purtkowe stegny", „Hanesk" oraz współautorem zbioru wierszy i gawęd pt. „Naszë stroné". Współpracuje z pismami Wybrzeża, m. in. z naszym pismem. Z zawodu nauczyciel, wiele czasu poświęca pracy społecznej. Jest kierownikiem Zespołu Żywego Słowa „Roztrębacze". Kandyduje do Wojewódzkiej Rady Narodowej w powiecie puckim.

* * *

Widzôł jem w spiku
swiat cemny
jak las.
Choc swiat był znóny,
ze słuńcem,
jak nasz —
miast lasé i wietwów
gąszcz lëdzkich miôł snów...
Snë cemnosc krëia;
sen każdy —
i mój...

W tym szarym swiece
bez szczescô,
bez bróm
błądził jem w kółko
bez kuńca,
le sóm...
A ciej w ostatku
wszedł drëgi w mój sen,
poznôł jem w smutku
le słaby
swój cëń;
i tak zbłąkóny
jem kroczył
przez swiat,
szlë też samotnie
i gôdka,
i czas...

Stoję westrzód lasë
sóm jeden,
bez bróm...
Słuńce z górë czasem
zamërgô przez gąszcz,
kukuczci spiewë
wkrąg sebie choc móm,
smętno je w lese,
bo jem w nim
le sóm...

Mëslôł jem przedtym,
że szczescé,
że smiéch
je każdému dóny
w kolibkę;
strzód drzéw
wid jednak le skąpo zamërgô
bëm mógł
mój krok wëprowadzëc
ze stegnów
i dróg.

Ksądz mô biedę

Ciéj rôz ksądz przëszedł do jednëch lëdzy na kolędę i spytôł sę knôpa co oznaczają lëtrë K + M + B, chtërne sę pisze na Trzech Królów na dwiérzach, knôp rzekł:

— Te lëtrë oznaczają, że „ksądz mô biédę".

A. N.

Potrzebna jest wiedza i miłość

Tadeusz Bolduan jest przedstawicielem grona młodych działaczy kaszubskich, którzy do ruchu regionalnego weszli w ostatnich 7 latach. Z zawodu jest dziennikarzem. W latach 1950 — 57 pracował w „Dzienniku Bałtyckim" oraz w prasie wojskowej w Warszawie i Bydgoszczy. Oderwany od Kaszub, nie oderwał się jednak od problemów swojej rodzinnej ziemi, publikując artykuły o tematyce kaszubskiej w dziennikach i tygodnikach północnej Polski. Jest autorem książki pt. „W krainie Słowińców". Obecnie Tadeusz Bolduan zajmuje stanowisko naczelnego redaktora „Kaszëb". Do Wojewódzkiej Rady Narodowej kandyduje w powiecie kartuskim.

Tak się jakoś składa, że dla wielu przybyszów z innych regionów Polski jesteśmy „ludem nie znanym", czymś w rodzaju Indian zapędzonych do rezerwatu. Nie można się temu dziwić, skoro przybysze „poznają" nas zaledwie z okien domów wypoczynkowych Sopotu czy Juraty, skoro przychodzą do nas niejednokrotnie zapatrzeni w swoje osobiste interesy. Sprawa Słowińców w Klukach jest tego aż nadto wymownym dowodem.

Powiedzmy sobie szczerze, że na kwestię kaszubsko — pomorską, która niewątpliwie istnieje i to od dawna, patrzy się jak przed wiekami — z pozycji Krakowa, Warszawy lub Poznania. Społeczeństwo nie stara się poznać problemów kaszubsko - pomorskich, nie stara się wniknąć w żywotne sprawy nadmorza z punktu widzenia jego interesów, które przecież są interesami ogólnopaństwowymi.*

Dziwić się należy, że z chwilą, gdy Kaszubi ujęli swoje sprawy w swoje ręce, gdy wydali walkę ciemnocie, zastojowi kulturalnemu i gospodarczemu, gdy zaczęli żądać dla siebie szacunku — coraz częściej pojawiają się głosy nieodpowiedzialnych osób, próbujące paraliżować naszą działalność. Część tych głosów można usprawiedliwić nieznajomością naszej historii, kultury, naszej specyfiki społeczno-gospodarczej i wreszcie psychiki ludu kaszubskiego, tak bardzo odrębnej od psychiki ludzi z innych regionów. Trzeba zrozumieć, że kwestia kaszubsko—pomorska wybiega daleko poza ramy folkloru ludowego, a korzenie jej tkwią w kilkuwiekowej tradycji państwowej Pomorców.

Z tą specyfiką trzeba się gruntownie zaznajomić, by partia mogła właściwie kierować pracą na kaszubsko-pomorskiej ziemi, by władze administracji państwowej nie popełniały rażących błędów, chociażby w polityce kulturalnej, dotychczas zupełnie wypaczonej i w dalszym ciągu nie rokującej poprawy.

Podręczniki historii wstydliwie omijają tematy kaszubsko-pomorskie. Prasa w zasadzie zajmuje się wyłącznie folklorem ludowym. Jedynie uniwersytety powszechne jak na okrasę dają „trochę z historii" ale nie zawsze obiektywnie. Trudno coś powiedzieć o klubach młodej inteligencji, bo te dopiero się zawiązują. Może więc lektorzy działający przy redakcji „Kaszëbë" ruszą na podbój terenu i coś mądrego powiedzą ludziom o naszej bogatej w wydarzenia i problemy polityczne przeszłości?

Ale to wszystko mało. Potrzebna jest szeroka i systematycznie prowadzona praca oświatowa, by ludzie zrozumieli, że kaszubszczyzna nie zaczyna i nie kończy się na folklorze ludowym, że wachlarz problemów jest znacznie szerszy i ważniejszy. Oddziały Zrzeszenia Kaszubskiego, Towarzystwa Wiedzy Powszechnej itd. powinny szerzej i lepiej organizować akcje odczytowe, trafniej dobierać tematy, przyciągać na odczyty jak najszersze rzesze społeczeństwa. Nie tylko Kaszubi, ale i ludzie, którzy się osiedlili na naszej ziemi, powinni wziąć żywy udział w odczytach, uczyć się dziejów ziemi, na której wypadło im pracować. Mniej będzie wówczas nieporozumień, bo poznają nasz lud, naszą historię. Szczególnie działacze społeczni i polityczni, pracownicy komitetów terenowych partii i stronnictw politycznych, kierownicy administracji państwowej, powinni jak najdokładniej zapoznać się z problemami kaszubsko-pomorskimi. Łatwiej będzie wówczas pracować, lepsze będą rezultaty tej pracy. Nie można bowiem wyobrazić sobie gospodarza, który uprawiając ziemię nie zna jej, płacąc zaś podatek nie wie, do jakiej klasy zaliczono jego pola.

Nie tak dawno rozmawiałem z jednym z etatowych pracowników Powiatowej Rady Narodowej. Żenującą była jego niewiedza o regionie; twierdził m. in., że autorem naszego hymnu narodowego jest... warszawianin Ogiński(!). A w ogóle, to Kaszubi nie mogą się poszczycić żadnym wielkim człowiekiem, w okresie powstań narodowych milczeli, a w czasie ostatniej wojny też nie mieli wiele do powiedzenia.

I temu człowiekowi nie można się dziwić. Bo i skąd ma znać prawdę o ludzie kaszubsko-pomorskim? Nikt z nim nie dyskutował, nikt nie podsunął mu książek, nigdzie nie słyszał o naszych racjach historycznych.

Nie mamy się czego wstydzić. Mówmy więc odważnie o tym, że na sejmie polskim w r. 1768 przeciwko popierającemu ustawę o równouprawnieniu dysydentów na Pomorzu, Repninowi, wystąpił zaledwie jeden poseł i to Kaszuba z powiatu kościerskiego, późniejszy generał Legionów i autor hymnu narodowego, Józef Rogala Wybicki. Już w następnym roku w Starogardzie zawiązała się „konfederacja pomorska" czyli trzyletnie zbrojne powstanie przeciwko Prusakom. Któż wie o tym, że w okresie powstania kościuszkowskiego, przed szturmem wojsk pruskich uratowało Warszawę powstanie na Pomorzu gdańskim pod dowództwem Pomorzanina, gen. Jana Henryka Dąbrowskiego? W czasie wojen napoleońskich Kaszubi masowo zaciągali się do polskiego wojska, zwłaszcza po apelu gen. Kosińskiego. Szli Kaszubi do powstania listopadowego, przedzierali się przez kordon w niezwykle trudnych warunkach, wznieśli sztandar walki wyzwoleńczej w latach 1846—1848 i wreszcie nasi dzielni ludzie walczyli w powstaniu styczniowym pod dowództwem Czarnego czyli Piotra Czarlińskiego.

W latach ostatniej wojny Kaszubi masowo ginęli w lasach piaśnickich, szpengawskich, w Karpnie, Sztuthofie i innych miejscach kaźni. Walczyli i ginęli w Tajnej Organizacji Wojskowej „Gryf Pomorski". Pamięć o nich pielęgnujemy ze szczególną troską i nie pozwolimy, by ktokolwiek odważył się negować wartość krwi przelanej przez naszych ojców.

Historię trzeba poznawać, a przede wszystkim zrozumieć. Pomorska myśl polityczna, kształtująca się w niezwykle trudnych i specyficznych warunkach, jest zupełnie nieznana i niejednemu ciężko będzie pojąć jej sens i trwałe wartości, którymi dobrze przysłużyła się państwu polskiemu, niejednokrotnie w historii bardzo słabemu.

Torujmy więc drogę poznaniu ziemi kaszubskiej w jej historycznym rozwoju. Bo tutaj, nad Bałtykiem, jest potrzebne nie tylko wielkie uczucie, umiłowanie naszych piaszczystych zagonów, ale i wiedza, rzetelna wiedza o naszych przodkach, tworzących historię w ramionach Odry, Warty i Wisły. Niech będzie jak najwięcej ludzi, którzy swe serca i umysły poświęcą bez reszty tutejszej ziemi, jej rozwojowi i rozkwitowi we wszystkich dziedzinach.

TADEUSZ BOLDUAN

* Patrz — Mirosław Jesko „Sto pięćdziesiąt lat myśli polskiej na Pomorzu" Londyn 1945.

Jan Trepczyk

Hej na morze!

Hej na morze, hej na morze,
Chto mo w desze chwat beini!
Ostaw doma smutk a gorze.
Bioj gdze wałe zybiący!

Dzyrsko ustań procëm sztormom!
Kożdi pobiotkujesz szkwoł.
On ce bądze o dobecym
W stanicach rozwionech groł.

Hej, Kaszebi, hej naszińce!
Tę na morzu waji mol.
Tę ubetk mdze waj a słunce,
Decha szczerujta w tę dol!

Wic na wałe, hej, na wałe,
Chto mo w desze chwat belni.
One bądą piesnię grałe
O waj szczescy Kaszebi!

Objaśnienia: wałe — fale; zybiący — kołyszące; procem — (na) przeciw; pobiotkujesz — zwyciężysz; szkwoł — burza, szkwał; dobecy — zwycięstwo; stanica — sztandar, flaga; naszińce — bracia; ubetk — ukojenie, uspokojenie, spokój.

Wrzenia rewolucyjne na Pomorzu w latach 1918-1919

(dokończenie ze str. 4)

wagi Grenzschutzu. W lutym i marcu działał w Borach Tucholskich w rejonie Tuchola—Czersk—Gliwice 100-osobowy oddział partyzancki braci Gnoińskich, na trasie zaś Wejherowo—Kościerzyna—(Puck) polska partyzantka ostrzeliwała niemieckie samochody wojskowe. Dowodem szerokiego ożywienia nastrojów narodowo-wyzwoleńczych wśród Polaków były znaczne rozmiary, jakie przybrał ich udział w Organizacji Wojskowej Pomorza (OWP), niezależnie od burżuazyjno-obszarniczego charakteru kierownictwa tej organizacji. OWP powstała na początku stycznia 1919 r. pod auspicjami Naczelnej Rady Ludowej i objęła dość szybko teren całego Pomorza gdańskiego. Szczególnie masowy charakter miało OWP na Kaszubach wraz z Chojnicami, choć i w takich ośrodkach jak Toruń, Chełmno, Brodnica i Lubawa były dość silne organizacje przez nią kierowane. Wszędzie gromadzono broń i amunicję, często poprzez kupno od żołnierzy. **(Lu)**

Ponieważ ostatni prelegent zwrócił się z prośbą o nadsyłanie materiałów uzupełniających, pozwalamy sobie przy okazji dodać, że komendantem OWP na powiat wejherowski był p. Augustyn Czoska, zastępcą komendanta OWP i Straży Ludowej na powiat wejherowski i komendantem Pomorskiej Żandarmerii Leśnej był p. Michał Ponka z Wejherowa, komendantem OWP na Okręg Kaszubski był p. Augustyn Szpręga, szefem zaś Organizacji Wojskowej Pomorza — dr Franciszek Kręcki z Gdańska. Wejherowski Oddział Straży Ludowej miał m. in. kompanię lotną, która w czasie od 15. XI 1918 r. brała udział m. in. w zatrzymywaniu pociągów przejeżdżających przez Redę i Wejherowo z żywnością, bydłem i sprzętem kolejowym, które Niemcy zamierzali wywieźć za granicę. Poza tym pełniono służbę ochronną gmachów państwowych.

(LAR)

F. Rogaczewski

DROGA powrotu

Z pamiętnika nauczyciela w Klukach

Rzecz działa się w Klukach — wsi rybackiej, położonej na południowym krańcu Jeziora Łebskiego, w północno-wschodnim zakątku powiatu słupskiego, nad niewielką rzeczką zwaną od wieków Pustynką.

Do wsi należały i nadal należą trzy osady: Pawełki, Kluki Żelazne i Kulki Ciemińskie, tworzące wraz z wioską Kluki — jedną gromadę Kluki.

Do 1945 r. rojno było w Klukach. Młodzież była rozśpiewana, panował dostatek, zachowały się zwyczaje słowiańskie, jak np. „Sobótka", a w chatach rybackich przetrwały burzę germańską resztki mowy kaszubskiej. Tak, ludność Kluk i sąsiednich wiosek: Izbicy, Lisiej Góry, Gaców, Główczyc, Smołdzina, Gardny Wielkiej i całej okolicy była pochodzenia słowiańskiego i nosiła nazwę Kaszubów lub też Słowińców.

W niniejszych wspomnieniach pragnę pisać wyłącznie o Klukach i tamtejszych Słowińcach, wśród których przebywałem od 1947 do 1951 roku jako nauczyciel. Pragnę pisać o nich dlatego, że rozegrała się tam cicha tragedia, nieznana szerszemu ogółowi.

W roku 1939 gromada liczyła 115 zagród i 680 mieszkańców, w tym 32 rybaków zawodowych. Rybacy ci posiadali 24 łodzie wioślarskie, 10 żaglówek i 2 łodzie motorowe. Żaglówki i łodzie motorowe o pojemności 2—3 tony każda. Poza bogatym sprzętem zastawnym, rybacy posiadali 4 niewody zimowe długości 800—1000 metrów każdy. Odłowy miesięczne wynosiły 9—12 ton. Przeważnie łowiono okonie, szczupaki, sandacze, węgorze, w mniejszej ilości płocie i leszcze. Bogactw tych dostarczało Jezioro Łebskie, którego powierzchnia wynosi około 75 km. kwadratowych.

Pozostała ludność trudniła się rolnictwem i hodowlą bydła. Kluki posiadały około 260 ha ziemi ornej o glebie torfiastej i około 250 ha bagnistych łąk. Zarówno ziemia orna jak i łąki posiadały dobrze rozgałęzioną melioracją nawierzchnią, doskonale utrzymywaną przez pracowitych Słowińców.

Według danych ze spisu rolnego Kluki posiadały w 1939 r. 91 koni, 249 krów, 157 jałowic, 2426 kur, 634 gęsi, 319 kaczek i około 1000 sztuk trzody chlewnej, z czego około 300 sztuk przeznaczano rocznie na własny użytek, a około 700 sztuk na sprzedaż o przeciętnej wadze 125 kg sztuka. Globalny wywóz mięsa wieprzowego wynosił zatem rocznie około 87.000 kg. Ponadto Kluki dawały rocznie około 1.500 ton (tak jest — tysiąc pięćset ton) kartofli na wywóz. Brzmi to wszystko może fantastycznie, lecz powyższe dane są najzupełniej prawdziwe, a dowody na to posiadają: Werner Knop i Kluck Albert III — byli sołtysowie Kluk.

Po raz pierwszy znalazłem się w Klukach 19 sierpnia 1947 r. Zastałem tam wówczas 418 Słowińców, w tej liczbie 108 dzieci w wieku szkolnym. Po krótkiej rozmowie z przedsawicielami gromady — Wernerem Knopem, Wilhelmem Kluckem i Wilhelmem Dargoschem w dniu 20. VIII. 47 r. i zapewnieniu ze strony tychże przedstawicieli, że wszyscy Słowińcy pragną pozostać w Klukach według zasady: „Tam gdzie nasz pot wsiąknął w ziemię, niech spoczną i kości nasze" — jak mi wprost oświadczył Knop — jednak pod warunkiem, że w Klukach zapanuje ład i porządek zakłócony przez niektórych osiedleńców — postanowiłem pozostać na tym odludziu.

Gospodarstw osiedleńców było wówczas w Kulkach 13, w tym 6 rodzin w liczbie 27 osób oraz 7 samotnych, zdemobilizowanych wojskowych, spośród których kilku traktowało Słowińców jako Niemców, na których się mścili za doznane w kraju krzywdy ze strony hitlerowskich okupantów. Uświadomienie tych osiedleńców o słowiańskim pochodzeniu Klukowian, a co za tym idzie — o związanie ich z Polską, nie nastręczało większych trudności.

Przedstawicielom gromady zapowiedziałem wtedy, że obejmę u nich stanowisko nauczyciela i że pomogę im w zagospodarowaniu Kluk. Gwarantowałem, że zapanuje u nich ład i porządek, a przede wszystkim postaram się o przydzielenie im inwentarza żywego, gdyż w Klukach było wówczas 5 koni i 4 krowy na 452 mieszkaców. Liczny inwentarz żywy, który wieś ocaliła w 1945 r. został tym ludziom doszczętnie zrabowany przez bandy szabrowników, grasujące na Ziemiach Zachodnich w latach 1945—1946. Chodziło mi o to, ażeby dać tym ludziom warunki do pracy i egzystencji, włączyć ich wysiłek do realizacji naszych planów gospodarczych, a przede wszystkim złączyć ich z Polską. A warci byli tego pod każdym względem; Słowińcy to ludzie zdrowi, uczciwi i pracowici, silnej budowy, żyjący przeważnie od70 do 80 lat a w niektórych wypadkach nawet do 90 i więcej lat.

Poprzednio pracowałem w powiecie starogardzkim (woj gdańskie). Sprawa przeniesienia zabrała mi dosłownie miesiąc czasu, tak, że do Kluk sprowadziłem się dopiero 19 września 1947 r. i w tym samym dniu zaczęła się ta cicha tragedia, o której wspomniałem na początku.

We wsi zastałem ogólne przygnębienie. Słowińcy, których spotkałem, unikali mnie. Pobiegłem do sołtysa. Był nim Kazimierz Woronko, młody rezerwista, którego powiadomiłem o moim przybyciu.

(d.c.n.)

Gwiazdka nadchodzi...

Jest komendant!

...i muzyka

Ono, niedźwiedź...

Gdzieś na Kaszubach...

Gwiazdka w Łapalicach

Zdjęcia: JANUSZ RYDZEWSKI
Tekst: CZESŁAW KRETOWICZ

Zapadł wieczór. Na bezchmurnym, grudniowym niebie rozjarzyły się wesoło srebrne gwiazdy.

W chacie Kąkolów w Łapalicach (pow. Kartuzy) czyniono ostatnie przygotowania do wieczerzy wigilijnej. W izbie panował świąteczny nastrój. Pod kominem wesoło buszował ogień a na płycie kuchennej warzyły się wigilijne potrawy. Wtem z izby wyskoczył Burek i zaczął wściekle ujadać. Jednocześnie od strony drogi dały się słyszeć niesamowite krzyki, wrzaski, lamenty i skoczne dźwięki diabelskiej muzyki.

W chwilę potem do izby wpadł zziajany Burek z mocno podwiniętym ogonem i natychmiast czmychnął pod łóżko. Tuż za nim w drzwiach ukazały się dwie dziwacznie przystrojone postacie.

— Niech będzie pochwalony... — Komendant i muzykant pozdrowili gospodarzy, pytając, czy pragną ujrzeć widowisko, jakich mało...

— *Gwiòzdci, gwiòzdci idą...* — cieszyły się dzieci. Tylko maleńki Kąkol schował się za matczyną spódnicę.

Komendant sprężyście zasalutował. Na ten znak muzykant „wyrżnął" od ucha skoczną melodię, a do izby wtoczył się gwiazdor w asyście gwiazdki, rozdając korbaczem na lewo i prawo tęgie razy każdemu, kto nawinął się pod rękę.

Nie sądźmy jednak, że groźny łapalicki Jowisz potrafi tylko karać, bo oto z pokaźnych rozmiarów torby dla najgrzeczniejszych dzieci wysypują się podarunki. Przy tym jednak lubi on o coś zapytać, np. o pacierz. Biada temu, kto nie odpowie. Korbacz i spodnie są znowu w robocie.

Skończyło się obdarowywanie. Gwiazdki ustępują na bok. Z przedsionka słychać głośny lament i do izby wchodzą stary dziad i baba, kłaniając się nisko gospodarzom. Przepasany sznurem dziad zażywa potężny niuch tabaki i kichając zaczyna wraz z babą nucic śpiewkę o niedwuznacznym tekście. Gospodarze wnet miarkują w czym rzecz. Dziadowski worek nie grzeszy skromnymi rozmiarami. Wnet powędrują tam dobre „kuchy" Kąkolów, Jednak babie, jak to babie, zawsze mało. Przy akompaniamencie lamentów zwraca uwagę gospodarzy na swoje pociechy w koszyczku. Dla nich to właśnie prosi o *porę detków na cucier.*

Hojność gospodarzy jest w dalszym ciągu narażona, jeszcze słychać postękiwania zadowolonych z obfitych darów dziadów, a już do izby wpada z tupotem i chrzęstem ułan na białym rumaku. Wprawdzie rumak jest silny i wygląda na dobrze wypasionego, ale i jemu się przyda *pôrę detków na owiés.* Tu w zasadzie kończy się egzekucja gospodarzy.

Na widowni pojawia się diabeł. Skok na stół, piec, na szafę nie przedstawia dla niego trudności. Plując zimnym ogniem, wśród łoskotu i niesamowitego brzęku doczepionych do ogona „brzęczydeł" wybiega w szatańskich podskokach z izby. Wystraszone dzieci odetchnęły z ulgą. Następuje moment spokojniejszy. W drzwiach ukazuje się kominiarz. Gospodarze zapomnieli przed wigilią oczyścić popielnik w piecu, więc kominiarz wymiata z niego popiół na środek izby. Kłęby kurzu unoszą się pod sufitem...

Nagle w drzwiach pojawia się niedźwiedź ze swoim panem, by wytarzać się w popiele. I wreszcie bocian. Co oznacza jego obecność w chacie, nie potrzebujemy chyba wyjaśniać. Tylko młode panienki niezbyt chętnie go widzą.

Widowisko zakończone. Pielęgnowana przez społeczeństwo kaszubskie tradycja gwiazdki jest ogromnym przeżyciem nie tylko dla dzieci, kapitalnie bawią się również starsi. Gospodarze żegnają przebrańców i zapraszają na następny rok.

Lu go pani Gwiazdko!

Wszystkim Czytelnikom, Współpracownikom i Instytucjom Serdecznie dziękujemy za Życzenia Noworoczne
Redakcja

Dziad i baba zawsze niezadowoleni...

Bocian, to symbol...

A diabeł tańczy...

No i cała „rodzinka" w komplecie.

Z życia ZRZESZENIA KASZUBSKIEGO

WEJHEROWO

W ubiegłym miesiącu, od-była się w Wejherowie narada aktywu Zrzeszenia Kaszubskiego. Zgromadziła ona najbardziej zasłużonych działaczy ruchu kaszubskiego w pow. wejherowskim; razem 65 osób.

O pracy Z. K. mówił prezes Oddziału JAN TREPCZYK, który położył szczególny nacisk na sprawy kulturalno-oświatowe i społeczne. Referent stwierdził, że dotychczas, spośród wszystkich kół najlepiej pracowało Koło Miejskie Zrzeszenia Kaszubskiego. Liczy ono obecnie przeszło 250 członków. Praca Koła koncertuje się głównie na kierowaniu zespołami artystycznymi: teatralnym, chóralnym, tanecznym i muzycznym.

Zespół teatralny ma już na swoim koncie udane przedstawienie sztuki ks. B. Sychty „Hanka sę żeni", które wystawiono 11 razy. Piosenki weselne w „Hance" śpiewał zespół chóralny, który ponadto występował na różnych uroczystościach miejscowych i pozamiejscowych m. in. we Wielu. Co do pozostałych dwóch zespołów — tanecznego i muzycznego, to powstały one niedawno i dopiero przygotowują pierwszy program.

Aby spopularyzować kaszubskie hafty, zorganizowano w Wejherowie pod kierunkiem Franciszki Majkowskiej, dwa kursy haftu. Ich uczestniczki zapoznały się z techniką pracy, wykonując pod okiem p. Majkowskiej wiele ciekawych robót.

W niedługim czasie uruchomiona zostanie nowa świetlica Zrzeszenia. Nareszcie własna, przestronna i wygodna. Dawniej była to świetlica międzyspółdzielniana. Obecnie Z. K. przeprowadza tam ostatnie remonty.

W dyskusji, jaka się rozwinęła po referacie, głos zabrał m.in. BERNARD SZCZĘSNY, Przew. Prez. PRN w Wejherowie. Omówił on problemy gospodarcze powiatu wejherowskiego. Wspomniał również o projekcie zorganizowania w marcu b.r. Sejmiku Kaszubskiego. Będzie to coś w rodzaju niedawno odbytego Sejmiku Żuławskiego w Malborku. Na Sejmik ten, aktyw Z.K. przygotowuje nowe projekty aktywizacji gospodarczej i kulturalnej powiatu. B. Szczęsny wskazał poza tym na dotychczasowy brak zainteresowania Zrzeszenia Kaszubskiego miejscowym radiowęzłem, który można i należy wykorzystać.

Sekretarz Prez. MRN w Wejherowie Ob. SZULC, omówił sprawę współpracy aktywu kaszubskiego z MRN. W ubiegłym roku przebiegała ona pomyślnie, a co przyniesie nowy rok, to się dopiero okaże.

HUBERT SUCHECKI wskazał na brak literatury kaszubskiej w naszych księgarniach. Jeżeli ukażą się jakieś pozycje o tematyce kaszubskiej, to łatwiej można je dostać w Lublinie, niż w Wejherowie.

W dyskusji zabierali również głos: Prezes ZG ZK Aleksander Arendt, przedstawiciel KP PZPR tow. Dawidson, członkowie Koła Miejskiego i przedstawiciele kół wiejskich.

Grudniowa narada aktywu kaszubskiego powiatu wejherowskiego, pozwoliła jej uczestnikom zorienować się w przebiegu dotychczasowej pracy i dała nowe wytyczne do przyszłej działalności.

K. D.

PRASA o KASZUBACH

SŁOWO POWSZECHNE

W numerze 301 z 19 grudnia 1957 r. ukazał się reportaż Józefa Iżyckiego pt. „Świat zabity deskami" o Słowińcach w Klukach. Jest to już 98 pozycja na ten temat w prasie. Dobrze jednak, że się pisze o Słowińcach, ponieważ sprawa Kluk nadal czeka na załatwienie. Red. Iżycki w sposób rzeczowy omawia m. in. draństwa, które zaistniały w Klukach w ostatnim okresie.

(b)

GŁOS WYBRZEŻA

W numerze 309 z 28/29 grudnia 1957 r. ukazał się obszerny artykuł omawiający wydane dotychczas numery pisma „Kaszëbë" (B.W.S. — „Kaszëbë" — czasopismo regionalne na wyrost). Autor niezwykle życzliwie ocenia nasze pismo, zwraca czytelnikom uwagę na coraz to innych autorów poszczególnych artykułów, na słuszne wiązanie tradycji z współczesnością.

(b)

POMORZE

Bydgosko-gdański dwutygodnik z 16. — 31. XII. 1957 r. przynosi artykuł Izabelli Trojanowskiej pt. „Kaszubskie kwiaty" o Żukowie i tamtejszej tradycji haftu kaszubskiego, pielęgnowanej przez siostry Ptach.

(b)

TYGODNIK

Londyński „Tygodnik" nr 35 z 14 grudnia 1957 r. zamieszcza artykuł Br. Sochy-Borzestowskiego pt. „Tej co poznała duszę ludu kaszubskiego". Jest to pośmiertne omówienie działalności etnograficznej prof. dr Bożeny Stelmachowskiej, znakomitej znawczyni kaszubskiego folkloru ludowego.

(b)

Nowe Książki

„Złoty Sen" na jawie

Mądrość i poczciwość nie zawsze idą z sobą w parze. Tak bywa w życiu, tak też często zdarza się w bajce. Ale bajka jest po to, żeby pokazać świat z innej strony, a jej mali czytelnicy żądni są wrażeń odmiennych od codzienności.

Taką właśnie historyjkę uroczą i trochę nieprawdopodobną (bo przecież inaczej nie byłoby bajki), złożył dla najmłodszych pod świąteczną choinką **Lech Bądkowski** — znany i ceniony pisarz Wybrzeża.

Czy bajka „Złoty Sen", jest nieprawdopodobna? — osądźcie sami. Wilk — pan lasów śni o smacznym śniadaniu. Jeść dobre rzeczy we śnie, to tylko połowa przyjemności. Nasz wilk woli zrealizować swój sen na jawie. I rzeczywiście, raz po raz wpada mu w łapy smaczny kąsek. Zdawałoby się, nie ma nic prostszego jak zjeść to wszystko. Ba, ale ten wilk nie jest pospolitym zjadaczem mięsa. Ma skłonność do poezji, którą wpoił mu mistrz Francek z fenikowskich lasów. Tak więc na cześć każdego przyszłego dania — czy to jest gęś, prosie czy baran z rogami, bohater bajki układa wiersz. Poza tym, sympatyczny wilk okazuje dużo wyrozumiałości dla swoich przyszłych ofiar. Ma litościwe serce, no i co tu dużo mówić, niewiele rozumu. Pozwala się wykiwać byle gęsi i dzięki temu wszystkie pyszne kąski ze złotego snu, uchodzą cało, a wilkowi pozostaje — pusty żołądek i perspektywa skonsumowania tego wszystkiego — raz jeszcze we śnie.

Przyznacie, że wilkowi taka przygoda może się zdarzyć tylko w bajce. Z reguły każdy wilk zbyt jest „prostolinijny", aby pozwolić unieść się fantazji o ile chodzi o zaspokojenie głodnego żołądka. Ale bajki przecież, pisane są dla ludzi, a wśród nich mogą się zdarzać najbardziej nieprawdopodobne historie...

Perypetie zgłodniałego wilka przedstawiła w kolorowych ilustracjach Barbara Mieszkowska, a Wydawnictwo Morskie w Gdyni postawiło na bajce swój stempel wydawniczy.

(P)

„Baśnie kaszubskie"

Franciszka Sędzickiego

Ktoś kiedyś powiedział, że mądrości ludu należy szukać w jego tradycjach i podaniach. Każdy lud ma ich wiele, część przechowała się, inne poszły w zapomnienie.

Franciszek Sędzicki część swego pracowitego życia poświęcił na zbieranie i opracowanie baśni kaszubskich.

Można by powiedzieć, że troszczył się o to przez całe życie. Już w młodzieńczych latach spisywał baśnie ludowe, które drukował (w latach przed I wojną światową) na łamach „Gryfa" i „Drużby". W ostatnim okresie swego życia, prawie na łożu śmierci, opracował wiele baśni kaszubskich, z kórych część ukazała się niedawno nakładem Ludowej Spółdzielni Wydawniczej. Pozycja ta, ze względu na małą ilość wydanictw o tematyce kaszubskiej, jest jeszcze jednym cennym źródłem poznania tradycji i zwyczajów naszego ludu.

Baśnie są różne. Większość ich zachwyca głównie dzieci. Są tam zaklęte zamki, nieszczęśliwe królewny i okrutni czarownicy. Wszystkich z tarapatów wybawia zawsze kaszubski knôp, który góruje nad pozostałymi partnerami: sprytem, dowcipem i uczciwością. Te właśnie zalety kaszubskiego ludu starał się pokazać Franciszek Sędzicki. Zanotował on opowiadania krążące wśród kaszubskiego ludu od Tuszków po Hel. Opowiadania, mówiące czasami (głównie w przypadku Tuszkowian), o wątpliwej mądrości ich bohaterów, są jednak zawsze dowcipne.

Książka ta może być przyjemną lekturą, tak dla dzieci jak i osób dorosłych. Traktując o sprawach kaszubskich pisał jednak Sędzicki językiem literackim, stylizując jedynie dialogi i niektóre wyrażenia. Ułatwi to czytanie, tego naprawdę przyjemnego zbiorku, osobom nie znającym dialektu kaszubskiego. A korzyść przy tym będzie podwójna: po pierwsze — da rozrywkę wprowadzając czytelnika w nierealny kraj baśni, a po drugie — zorientuje w podaniach krążących wśród ludu kaszubskiego, z których wiele zaczerpnęło swój wątek z życia.

„Baśnie Kaszubskie" przygotował do druku Lech Bądkowski. Żałować jednak należy, że wydawnictwo pominęło jego nazwisko w książce, podobnie jak zapomniano podać autora rysunków, którymi urozmaicone są strony baśni, oraz spis tytułów poszczególnych pozycji. Ir.

A to co?

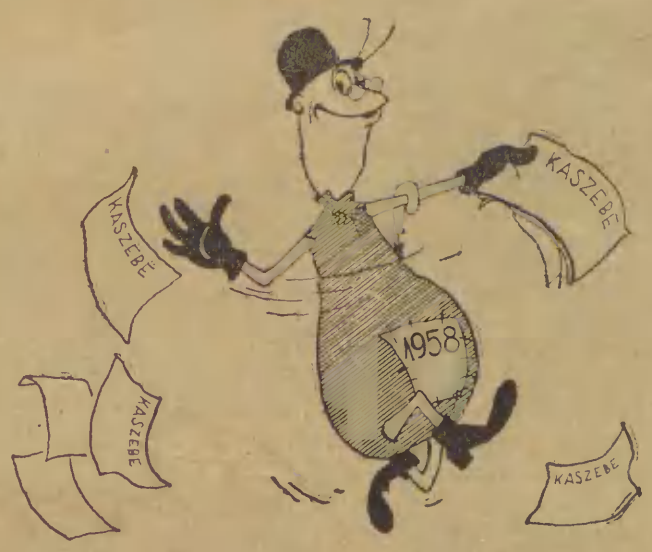

Bajka

Powstanie klasztoru w Żarnowcu

W wielkich lasach, które niegdyś pokrywały okolice między Żarnowcem a brzegiem morza, zabłądził w czasie polowania pewien rycerz ze swoją świtą. Tułali się po lesie przez wiele godzin, jednak im dalej jechali, tym ciemniejszy stawał się bór. W końcu znaleźli się w okolicy otoczonej moczarami i bagnami.

Zapadła noc. Zmęczeni ludzie położyli się pod gęste krzaki i zasnęli twardym snem.

Kiedy rano rycerz otworzył oczy, ujrzał stojącą w pobliżu sarnę. Na rogach pięknego zwierzęcia wisiał złoty klucz. Sarna stała spokojnie, nie bojąc się otaczających ją ludzi. Gdy zabłądzeni do niej się zbliżyli, zwierzę powoli zaczęło się oddalać. Ludzie ruszyli z tyłu i w ten sposób odnaleźli zagubioną drogę.

Dziękując Bogu za cudowny ratunek, rycerz wybudował klasztor dla zakonnic w miejscu, gdzie ujrzał sarnę. Nazwał ten klasztor Sarnowcem, od słowa sarna. Od tej nazwy powstała obecna — Żarnowiec.

Część dawnych zabudowań klasztornych dziś już nie istnieje. Zachował się jednak sam kościół klasztorny, a w nim wielki ołtarz. Na lewo od tego ołtarza można dziś zobaczyć rzeźbę, przedstawiającą sarnę ze złotym kluczem na rogach.

A. Z.

● LISTY DO REDAKCJI ● LISTY DO REDAKCJI

Listonosz pisze...

Pragnę wziąć udział w konkursie dla listonoszy, ogłoszonym w poprzednich numerach naszego pisma. Jestem pracownikiem poczty i w swojej wiosce Chwaszczyno, zdobyłem 52 prenumeratorów dla „Kaszëb". Jako stały i gorący czytelnik naszego kaszubskiego pisma, będę się starał pozyskać dla niego jeszcze więcej odbiorców.

Drogiej redakcji życzę wielu prenumeratorów i dużo zadowolenia z uczciwej i pożytecznej pracy.

ANTONI KIL
Chwaszczyno

Szanowna i kochana Redakcjo!

Temu mniejwięcej 14 dni, gdy znalazłem się w redakcji tutejszego „Katolika". Jan Wagner, Ślązak rodem, redaktor inteligentny, zdolny i bardzo jeszcze młody, podał mi „pismo z Kaszub", serdecznie widać uradowany i poprosił, bym przeczytał, a następnie wypowiedział się na temat pisma.

Oniemniałem, o co proszę do mnie nie mieć żalu, gdyż z pewnego powodu (o którym powiem kiedy indziej), nie wiedziałem dotąd nic o istnieniu „Kaszëb". Ucieszyłem się, gdyż jest to organ z mojej jak gdyby ziemi, z tych Kaszub, z którymi poprzez Kosznajderię sąsiadowała moja droga rodzinna Krajna, a wreszcie — te Kaszuby, o których w latach mojej młodości, zwłaszcza podczas wyborów do niemieckich ciał ustawodawczych, tyle się czytało w Kulerskiego „Grudziądzkiej" i w „Gazecie Gdańskiej".

Wczoraj był pogrzeb ś.p. Jakuba Kani. Dziś niedziela. Usiadłem i odpisałem dla Szanownej Redakcji „Przedmowę" do moich, niedługo mających się ukazać „Wspomnień śląskich", oraz wstęp do I części — „Pierwsze zetknięcia". Jutro udam się na pocztę, by zaabonować „Kaszëbë". W miarę mych skromnych możliwości będę czynił wszystko, aby Kaszuby i Śląsk Opolski, jak w okresie międzywojennym Warmia i nasz Śląsk, jak najbliżej ze sobą współżyły, ku szczęściu swemu i ku szczęściu drogiej naszej Polski.

Wspomnianą w liście „Przedmowę" zamieścimy w następnym numerze „Kaszëb" — red.

KAZIMIERZ MALCZEWSKI
Opole

Szanowna Redakcjo!

Piszemy w imieniu kółka regionalnego uczniów Państwowego Liceum Ogólnokształcącego w Kościerzynie. Kółko nasze powstało w ubiegłym roku szkolnym. Celem naszym jest poznanie i rozpowszechnianie kaszubskiej twórczości regionalnej. W tym roku postanowiliśmy zbierać różne bajki z Ziemi Kaszubskiej. Poza tym na każdą uroczystość szkolną staramy się dać jakiś program. Na uroczystość gwiazdkową w ubiegłym roku pomógł nam w tym ś. p. Franciszek Sędzicki, przysyłając swoje kolędy kaszubskie i wiersze. W tym roku mamy zamiar wystąpić z gawędami kaszubskimi, które przygotowują nasi koledzy.

Chcielibyśmy wystąpić w przyszłości z jakąś inscenizacją o tematyce kaszubskiej, jednak nie mamy materiałów. Czy redakcja „Kaszëb" mogłaby nam pomóc?

Na wspólnym zebraniu czytamy nasze nowe pismo. Bardzo się cieszymy, że wreszcie ukazało się takie pismo, które nas bardzo zaciekawia, gdyż daje dużo wiadomości dotyczących historii i zwyczajów naszego regionu.

Sekretarka
A. Leszkowska

z poważaniem
Przewodniczący
H. Buszman

STASZKÓW JAN
Rys. WIESŁAW DEMBSKI

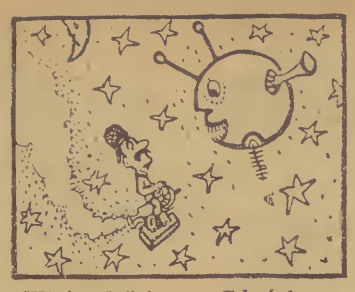

— Witôj drëchu z Gduńska rodem!
Cësz të z tëłu môsz za smrodë?!
— rzekła bania odzëwiałô.
— Jakosz żes sę wzął tu narôz?!

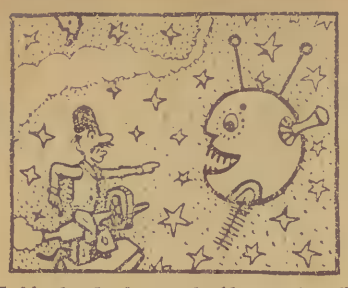

Walôszk dechu nabrôł w piersë:
— To ten ambus, jem z tëch pierszëch...
A kto të jes? Smantk czë Purtôk?
Bo bëm ce tu zarëz utłukł.

Drëch sę rozsmiôł na trzë wiatrë:
— W róg mie kusznij, stôry lapsë! —
rzekł i gwizdnął wedle uszy
aż Walôszk swój ambus puscił...

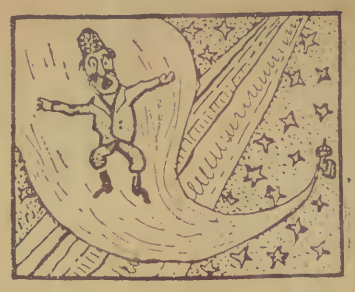

— Wej! Ratënku! — Walôszk wisi,
jakbë ktosz go miôł na dyszli...
A tymczasem ambus wiornie
jak trzëletné w lese sôrnie...

Nasi kandydaci

Leon Necel

Leona Necla znają dzisiaj nie tylko Kaszubi, Sława artysty ludowego, mistrza wspaniałej ceramiki wybiega daleko poza granice Kaszub i kraju.

Leon Necel należy do tych artystów, którzy pielęgnując tradycje kaszubskiej sztuki ludowej, wzbogacają ją swoimi pomysłami. Nowe wzory i nowe naczynia wykonywane z gliny dowodzą najlepiej o twórczych siłach kaszubskiego garncarza.

Leon Necel kandyduje do Wojewódzkiej Rady Narodowej w powiecie kartuskim.

Talerze z motywami kaszubskimi

* * *

Dzbanek do kawy

Dwojaki kaszubskie

Foto: J. RYDZEWSKI

Kochana Redakcjo!

Mam piętnaście lat. Po ukończeniu siedmiu klas szkoły powszechnej pragnęłam się dalej kształcić, zostać nauczycielką. Ciężkie warunki przeszkodziły mi. Marzyłam i nadal marzę o tym, by zostać poetką. Proszę..."

Spełniamy prośbę, Gerardo, i drukujemy Twoje pierwsze poetyckie próby, mimo że są to utwory jeszcze wątłe. Jednak czynimy to w nadziei, że zachęcimy Ciebie do dalszej pracy.

W moim ogrodzie

Zapada dzień, ten śliczny dzień —
Pójdę sobie do sadu — w cień.
Bo w moim pięknym ogrodzie,
Jest jak w bajce, jak w nieznanej wodzie.

Są tam wszystkie moje kwiatki:
Róże, kaliny, lilie, bławatki...
Są także niezapominajki,
Jak piszą poeci — kwiatki z bajki.

Wyraźnie czuję niebios woń,
Widzę zaczarowanej wody toń.
Cudnie w tym kwitnącym świecie,
Więc siedzę w nim, ja — zaczarowane dziecię.

Pokłon

Nie o was skowronki śpiewać przychodzę,
Nie o kalinie, że rośnie w ogrodzie,
Ani o słońcu, że chodzi po niebie,
Ani o fali co bije o brzegi;
Śpiewać chcę Tobie, Mistrzu Człowieku!

GERARDA ŁOSIŃSKA

Węgrôł liter kornusu

Bëło to jeszcze przed pierwszą wojną światową. Jeden Kaszëba zawiatowôł sę z dwoma Miemcama w Berlinie o liter kornusu, że nie zrobią tego co on. Smiôle sę z niégo ale sę zawiatowôle.

Tédë Kaszëba wzął odpiał swoją drewnianą nogę i zawołôł: no, ulembarsze, zróbta to co jô, niech jeden z waju letrów utnie so jedną kwantę!

I tak węgrôł liter kornusu, chternégo mu sigło na cały miesąc, bo w tëch czasach Kaszëbi jesz tëli nie pilë piekelni wode co dzisô.

A. N.

Jak Pucczanie próbowali wartość piwa

Kiedy Puck warzył jeszcze sporo piwa (a było to ładnych kilkadziesiąt lat temu), próbę wartości trunku przeprowadzano w następujący sposób:

Kiedy piwo było już gotowe, burmistrz miasta zawiadamiał o tym dostojną radę miejską. Radni zasiadali w sali posiedzeń na długiej ławie. Właściciel browaru osobiście wręczał każdemu z nich kufel piwa, które wychylano powoli, kropla po kropli — dla poznania smaku i wartości świeżo uwarzonego napoju. Była to jednak dopiero pierwsza próba, drugą porcję piwa wylano na ławę, a kilku radnych siadało na rozlanym trunku. Teraz wypijano następną kolejkę, także bardzo powoli, by piwo pod siedzeniem miało czas na wsiąknięcie w buksë radnych.

Na dany przez burmistrza znak, radni siedzący na ławie podnosili się równocześnie. Jeżeli ława „trzymała się" spodni, wówczas piwo uznawano za dobre, jeżeli natomiast odklejała się i odpadła, uznano piwo za półwartościowe. Dobre piwo (a więc to, które czepiało się „niebëlni częscë cała") przeznaczono dla gospodarzy miasta i bogatych gburów. Półwartościowe oddawano na sprzedaż dla służby i innych biedaków.

W taki sposób dawni eksperci piwa puckiego oceniali swój trunek. Był to sposób może nieco dziwaczny i... powiedzmy kłopotliwy, ale nie pozbawiony oryginalności. Dzisiejszym probierzom piwa tej metody jednak nie zalecamy, jako że „kąsk za mało dëtków na nowe buksë".

Z. P.

(Od redakcji: w kilku numerach „Kaszëb" zamieszczaliśmy historyjki, w których Pucczanie pokpiwali sobie z Gnieżdżewian. Dla poprawienia hmorów mieszkańców Gnieżdżewa, zamieszczamy więc historyjkę o puckich „mądrych głowach". Z. P.

KASZËBË ORGAN ZARZĄDU GŁÓWNEGO ZRZESZENIA KASZUBSKIEGO

Redaguje zespół w składzie: Tadeusz Bolduan (red. nacz.), Irena Piotrowska i Jan Kiedrowski (sekretarz red.).

Adres redakcji i administracji: Gdańsk, Targ Drzewny 3-7 I p. Tel. centrala 350-41, wewnętrzny 41.

Warunki prenumeraty: miesięcznie — 4 zł, kwartalnie 12 zł, półrocznie 24 zł, rocznie 48 zł.

Prenumeratę przyjmują listonosze, placówki pocztowe i oddziały „Ruchu" w terminie do dnia 15 każdego miesiąca na następny okres prenumeraty. Wpłaty indywidualne na wysyłkę pod opaską przyjmuje PUPiK „Ruch" Gdańsk, ul. Łkacka 9—10, konto PKO 52-6-141.

GZGraf. 20 — 5000 — F-5

Dodë KASZËBSCIJ OBËCZAJNOSCË

JÓZEF KROPIDŁOWSKI Z CHOJNIC: „O wyborach już głośno. Kogo najlepiej wybrać do rad narodowych? Tyle razy już się nacięliśmy, że nie wiem na kogo postawić."

Sprawa prosta. postawić na najlepszego. Kandydatów na pewno znacie, a jeżeli nie, to postarajcie się ich poznać. Przede wszystkim potrzeba nam ludzi odważnych, czynnych, którzy będą gwarantować prężną działalność rady. Oczywiście, zalety umysłowe kandydatów muszą decydować o wyborze.

MARYSIA Z ŁUBIANY: „Czy to prawda, że w małżeństwie miłość szybko przechodzi? Mam narzeczonego i nie wiem czy się zdecydować na ślub".

Oto i problem. Gdybym był żonaty, to na pewno bym odpowiedział. Jestem jednak w położeniu Pani i dlatego chętnie poczekam aż Pani wyjdzie za mąż i łaskawie mnie poinformuje, jak to jest z tą miłością, a wówczas postaram się odpowiedzieć na to pytanie naszym czytelnikom, których niewątpliwie ono interesuje.

KLARA Z PIECHOWIC: „Po co się wygłupiacie z takim „Listem matrymonialnym Kociewianki". Śmiejecie się z ludzi. Czy to ładnie?"

Proszę mi wierzyć, że po konsultacji z sekretarzem redakcji doszedłem do wniosku, iż nie ma mowy o wyśmiewaniu się z ludzi. Po prostu realizm. Czy przypadkowo Pani nie jest ową Zuzanną?

GOLA